

Krzysztof Łanda

Jan Bielecki

czternaście not



„CZTERNAŚCIE NUT”

Autorzy:

Krzysztof Łanda

Jan Bielecki

Projekt i wykonanie okładki:

TUV NORD Polska Sp. z o.o. (Maciej Kamiński)

Copyright © 2014 by Krzysztof Łanda; leukocyt5791@interia.pl

All rights reserved. No part of the material protected by this copyright may be reproduced or utilized in any form, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage and retrieval system, without written permission from the copyright owner.

Wszystkie przedstawione w książce postacie i zdarzenia są fikcyjne, a opisane zdarzenia nie miały miejsca. Wszelkie ewentualne podobieństwa do osób fizycznych są przypadkowe.

ISBN: 978-83-939273-5-7

Część pierwsza

1.1

Mam na imię Giuseppe i jestem człowiekiem pokornym.

Cierpliwie czekam, aż otworzą się ciężkie drzwi i arcybiskup Lucka zaprosi mnie do swojego gabinetu. Nie czuję zniecierpliwienia, choć upływają kolejne minuty. Już sama myśl o zniecierpliwieniu wydaje się nie na miejscu – tu, w sercu wiecznego Rzymu, którego kamienie przyglądały się upływającym wiekom, czas zdaje się płynąć inaczej. Wolniej. Ilekroć przekraczam dostojne mury Watykanu, zdaje mi się, że czuję na sobie wzrok historii.

To charakterystyczne mrowienie na karku nie minęło. Czuję je również teraz, gdy siedzę na ławie w korytarzu, w północnym skrzydle jednego z budynków administracyjnych Stolicy Apostolskiej, czekając na posłuchanie.

Przypatruję się drzwiom gabinetu. Przesuwam wzrokiem po prostej, surowej framudze i solidnym skrzydle z ciemnego mahoni, wyobrażam sobie, co czułbym, przesuwając po nich palcem. Myślę o gładkiej fakturze i ciepłe szlachetnego drewna. Z trudem zwalczam chęć podejścia bliżej i wyciągnięcia ręki. Wiem, że jestem dyskretnie obserwowany, a takie zachowanie wyglądałoby przecież co najmniej niedorzecznie.

Tego, co czeka za drzwiami, wyobrażać sobie nie muszę. Pamiętam każdy szczegół.

Ktoś zwrócił uwagę, że gabinet arcybiskupa Lucki doskonale pasuje charakterem do swojego gospodarza, w pewien sposób wręcz wyraża jego osobowość. W pełni się zgadzam. Myślę, że tę korelację musiał dostrzec każdy, kogo dostojnik gościł.

Przywołuję widok jego gabinetu, wyraźny, jakbym wyszedł z niego wczoraj. Przestronne i eleganckie pomieszczenie, urządzone w dobrym guście – jego gospodarz, mimo wysokiej pozycji w watykańskiej hierarchii pozostał skromny i nie dał

się omamić pokusom przepychu i blichtru. Mimo to, za pierwszym razem gabinet zrobił na mnie niemałe wrażenie.

Centralne miejsce w pokoju, do którego lada moment zostanę zaproszony, zajmuje ogromne biurko. Zawsze puste. Arcybiskup Lucka znany jest z umiłowania porządku – tak jak nie potrzebuje w codziennej pracy otaczać się zbędnymi, rozpraszać uwagę szpargałami, tak też nigdy nie pozwala sobie na zaśmiecanie umysłu. Mimo upływu lat, wciąż uważany jest za jedną z najtęższych głów Watykanu. Widzę go, jak siedzi za biurkiem, wyprostowany, ze zmrużonymi oczami, ważąc słowa odpowiedzi na trudne pytanie, z poważnym, surowym wyrazem twarzy.

Dostojnik jest człowiekiem cienia. Za każdym razem, gdy byłem w jego gabinecie – a uzbierały się już tych wizyt dziesiątki – panował tam miękki półmrok, ciężkie kotary zasłaniały okna. To również wydaje mi się bardzo znaczące.

Niewielu zdaje sobie sprawę, jak ważną postacią czyni arcybiskupa Luckę jego funkcja szefa Sekcji II Watykańskiego Sekretariatu Stanu. De facto odpowiada to roli ministra spraw wewnętrznych państwa. Niewiele dzieje się za murami Watykanu poza nim; wszystkie sznurki zbiegają się właśnie tam, za drzwiami z ciemnego mahoni. W półmroku swojego gabinetu arcybiskup Lucka podejmuje decyzje o nierzadko kluczowym znaczeniu dla funkcjonowania państwa kościelnego. Nigdy jednak nie afiszuje się z władzą, zawsze pozostaje w pewnym dystansie. Tak, jak rzadko pozwala promieniom słońca rozświetlać swój gabinet, tak też sam woli unikać wystawiania się na widok publiczny i jeśli tylko jest to możliwe, w kontaktach z przedstawicielami mediów wyręcza go osobisty sekretarz. Mogę się tylko domyślać, czy podyktowane jest to przez ostrożność, czy tylko przez niechęć do publicznych wystąpień.

Również dobór obrazów zdobiących ściany gabinetu jest przemyślany i symboliczny. Obok znakomitych reprodukcji,

nierzadko liczących już setki lat dzieł mistrzów Renesansu – Rafaela Santiogo, Donato Bramantego i Michała Anioła, ale także Albrechta Dürera i Roberta Campina (jak mówi, „wręcz nie wypadało mu ograniczyć się do twórców z Italii”) – arcybiskup Lucka umieścił również malarstwo współczesne.

Pamiętam, jak przyjmował mnie na posłuchanie w gabinecie po raz pierwszy. Dostrzegł wówczas moje zaskoczenie na widok reprodukcji prac Jacksona Pollocka i szczerze się roześmiał.

– To, że noszę koloratkę, nie znaczy, że nie interesuje mnie świat poza Kościołem – powiedział. – A w sztuce, jako takiej dostrzegam pewną świętość, pewien boski element. Ten sam dla wszystkich epok, co najwyżej wyrażany przy pomocy innych środków, innego kodu estetycznego...

Pogawędziliśmy wówczas chwilę o historii malarstwa, co pozwoliło przełamać lody; widzieliśmy się po raz pierwszy od bardzo dawna i nawet nie usiłowałem ukryć onieśmienia, oczywistego zwłaszcza, jeśli zważyć na okoliczności poprzedniego spotkania. Arcybiskup wyznał, że historia sztuki należy do jego największych pasji, a kontemplacja wybitnych obrazów nie tylko pozwala się wyciszyć i odpocząć, ale także inspiruje i daje energię do pracy.

– Obcowanie ze sztuką współczesną jest szczególnie cenne dla osoby na moim stanowisku, drogi Giuseppe – powiedział. – Watykan nie może jedynie koncentrować się na celebrze tradycji, choć rzecz jasna nie wolno nam zapomnieć o korzeniach. Watykan musi stale mierzyć się z wyzwaniami, jakie niosą obecne, jakże skomplikowane czasy. Stąd ekspresyjny abstrakcjonista obok mistrzów Odrodzenia. Sztuka stale przypomina mi o zadaniach i obowiązkach, Giuseppe. Zmusza do podejmowania ciągle na nowo wysiłku nieszablonowego myślenia.

Nie mogłem nie przyznać racji. Jako osoba blisko związana z Watykanem wiedziałem przecież, jak bardzo mylą się wszyscy, którzy uważają Państwo Kościelne za skostniały twór, nie nadążający za dynamiką współczesnego świata. Szacunek dla

tradycji i ceremoniału, choć istotny, nie wyklucza przecież korzystania ze zdobyczy najnowocześniejszych technologii. Watykan nigdy nie był wrogiem nauki i postępu, wbrew temu, co lubią powtarzać nieprzychylni – zwykle nie mając zresztą na ten temat najmniejszego pojęcia.

Z pomieszczenia obok, sąsiadującego z gabinetem arcybiskupa Lucki, dobiegają uderzenia w klawiatury komputerów. Co chwilę rozlega się gwar telefonicznych rozmów. To właśnie ta druga twarz Watykanu, zwykle niedostrzegana, a jeśli nawet, to lekceważona.

To twarz skupionego profesjonalisty, opromieniona raczej poświatą monitora, niż blaskiem wiekuistym. Salę Drugą, jak zwykle się o niej mówi, wypełnia sztab ludzi. Wielu z nich nosi koloratki, ale nie wszyscy; dla arcybiskupa pracuje również wiele osób świeckich. Mieszkają w różnych dzielnicach Rzymu, a przekraczając każdego poranka mury Watykanu, odbijają na bramce karty magnetyczne. Są wśród nich kobiety. Mało tego, nawet nie wszyscy to osoby wierzące – zatrudniając pracowników Sekcji Drugiej, Watykan kieruje się zgoła innymi kryteriami. To elita, najlepsi z najlepszych analityków, absolwenci prestiżowych uczelni, nierzadko z doświadczeniem w międzynarodowych korporacjach. Rzetelnie i wydajnie wykonują pracę, za którą są sowicie wynagradzani. Zbierają i agregują informacje, niezbędne w pracy szefa kluczowej sekcji Sekretariatu Stanu. Między sobą żartują czasem przy kawie, że pracują w najpotężniejszym z przedsiębiorstw: w korporacji Pana Boga.

Ciekawe, co zajęło arcybiskupa Luckę? Nigdy nie zdarzało mi się aż tak długo oczekiwać na posłuchanie, zwykle dostojnik przyjmował mnie dokładnie o umówionej porze. Tymczasem minął już ponad kwadrans od ustalonej godziny.

Sprawy zaprzatające hierarchę z pewnością nie były czymś, o co martwić się powinien zwykły śmiertelnik. Z drugiej strony, w zdawkowej telefonicznej rozmowie arcybiskup

podkreślał, jak ważne jest, abyśmy spotkali się akurat dzisiaj, a więc zależało mu na czasie.

Nie zastanawiałem się nad tym wcześniej. Czyżby działo się coś niezwykłego? Nagle odnoszę wrażenie, że telefony w Sali Drugiej dzwonią ciut częściej, a odbierający je analitycy unoszą głosy o pół tonu bardziej, niż zwykle. Stukot uderzeń w klawiaturę wydaje się bardziej nerwowy, arytmiczny, rwany. Przez uchylone drzwi widzę, że co chwilę ktoś wstaje zza biurka. Słyszę, jak szurają odstawiane krzesła.

Ale najpewniej wszystko tylko mi się wydaje. Nieco znużony oczekiwaniem, choć wciąż daleki od zniecierpliwienia – kimże zresztą jestem, aby choćby w myślach ponaglać arcybiskupa Luckę? – zacząłem budować w wyobraźni sensacyjne scenariusze.

Niepotrzebnie. Powinienem jednak zachować spokój i czystość myśli.

I oto proszę: ciężkie drzwi gabinetu arcybiskupa uchylają się. Stoi w nich osobisty sekretarz i asystent dostojnika – Casemiro. Koloratka niemal świeci na tle jego eleganckiej czarnej koszuli. Uprzejmym gestem Casemiro zaprasza mnie do środka.

Wchodzę, nagle pewny, że będzie to spotkanie ważniejsze od wszystkich dotychczasowych.

1.2

Wszystkie szczegóły się zgadzają; gabinet wygląda, co do joty tak, jak go zapamiętałem. Bóg obdarzył mnie sprawną pamięcią.

Arcybiskup siedzi za biurkiem. Zaciągnięte zasłony stoją na drodze promieniom popołudniowego słońca; tylko pojedyncze jasne snopy przecinają półmrok. Biurko doświetla mocna, punktowa lampka. Zasłanianie okien mimo słonecznej pogody to kolejny przejaw ostrożności – czyżby hierarcha obawiał się, że dysponujący odpowiednim sprzętem szpiegdy mogliby z dystansu

fotografować dokumenty, z którymi pracuje? Kotary zabezpieczają też przed podsłuchem; lasery odczytujące delikatne wibracje szyb powodowane dźwiękami mowy to dziś zwykłe wyposażenie tajnych służb.

Dostojnik wstaje zza biurka, lekko uśmiecha się na mój widok. Podchodzę bliżej, odprowadzony czujnym wzrokiem stojącego wciąż w drzwiach Casemiro i nieodgadzionymi spojrzeniami postaci przedstawionych na obrazach zdobiących ściany. Wciąż czuję na karku to mrowienie, od którego w Watykanie nie sposób się uwolnić.

- Giuseppe - mówi arcybiskup Lucka, wyciągając rękę na powitanie. Obejmuje mnie i klepie po plecach. Nie odwzajemniam tego gestu; zanadto się krępuję.

- Ekscelencjo - odpowiadam. Mój głos brzmi sztywno, nienaturalnie; sam się sobie dziwię.

Arcybiskup wskazuje mi krzesło, siadam naprzeciw niego. Dzieli nas gładka tafla szlachetnego drewna.

- Wybacz, że musiałeś czekać. Doszło do pewnych... wydarzeń, które nieco zaburzyły moje plany - z twarzy hierarchy zniknął uśmiech. - Stąd właśnie muszę po raz kolejny prosić cię o pomoc.

- Cokolwiek potrzeba, ekscelencjo.

Arcybiskup podnosi wzrok, spogląda w głąb pomieszczenia, w stronę drzwi. Nie odwracam się, słyszę tylko szybkie kroki i zdawkowe słowa - ktoś podszedł do Casemiro i coś mu przekazał.

Asystent po chwili podchodzi do biurka, staje obok mnie. Trzyma plik zadrukowanych kartek.

- Przepraszam najmocniej, ekscelencjo - mówi Casemiro. Jego głos jest gładki, nieinwazyjny, wtapia się w tło. - To poprawiony załącznik do ostatniego raportu grupy pierwszej.

Arcybiskup kiwa głową. Bierze plik kartek od asystenta, kładzie na biurku.

- Wybacz, Giuseppe. Muszę koniecznie zapoznać się z tym dokumentem. Natychmiast, bez zwłoki.

Wydaje mi się, że dostojnik jest lekko zdenerwowany, może zaniepokojony.

- Ależ skąd, ekscelencjo - protestuję. - Doskonale rozumiem. Zaczekam na zewnątrz...

Chcę wstać z krzesła, ale arcybiskup Lucka wstrzymuje mnie gestem.

- To zajmie tylko chwilę, przyjacielu. Casemiro, podaj proszę wodę do picia, nasz przyjaciel z pewnością jest spragniony.

Nie chce mi się pić, ale nie śmiem odmówić.

Arcybiskup bierze się za lekturę. Skupiony wzrok omiata partie tekstu niczym głowica skanera - szybko i metodycznie. Na chwilę dostojnik przerywa czytanie, patrzy mi w oczy, ciężko wzdycha i znów wraca do dokumentu.

Zdaję sobie sprawę, że sytuacja naprawdę musi być nadzwyczajna.

Nie znam drugiej osoby o tak przenikliwym spojrzeniu, prześwietlającym na wskroś; spojrzeniu, przed którym nie sposób uciec.

Pierwszy raz ujrzałem je dwadzieścia lat temu; pamiętam jak dziś.

Tamtego wiosennego dnia chciałem się zabić.

W naiwnej rozpaczach młodego desperata wydawało mi się, że nie ma siły, która mogłaby mnie powstrzymać przed odebraniem sobie życia. Sądziłem, że świat jednoznacznie dał do zrozumienia, jak bardzo jestem mu niepotrzebny i dalsze przeciąganie farsy, za jaką uważałem swoje życie, nie ma już najmniejszego sensu.

Kobieta, o której dopiero co myślałem, że zestarzeję się u jej boku, odeszła. Zostawiła mnie. Odeszła definitywnie, stawiając sprawę jasno. Zrozumiałem, że dalsze oszukiwanie się jest bezcelowe, żadnej nadziei już nie ma; paradoksalnie przyniosło to pewną ulgę, ostatecznie kończąc emocjonalną szamotaninę, która wykańczała mnie od tygodni. Już nie miałem

o co walczyć. Świadomość, że nie może być gorzej, bywa takim dziwnym, gorzkim pocieszeniem.

Gdy jednak zdawało mi się już, że pozostaje tylko czekać w bólu, aż czas zacznie zabliźniać rany, teatr Piccola Lirica, w którym pracowałem, postanowił zakończyć ze mną współpracę. Z powodu drastycznie zmniejszonego budżetu na nowy sezon zmieniał się profil teatru, odchodzono od klasycznego repertuaru i mój kontratenor, choć jak mnie zapewniono „być może najwybitniejszy we Włoszech”, przestał być potrzebny. Nie potrafiłem sobie wyobrazić innego zajęcia. Piccola Lirica – to był mój drugi dom. Oczywiście, znalezienie angażu w innym teatrze byłoby tylko kwestią czasu, ale nie o to chodziło. Kochałem tę scenę, te kulisy, tę publiczność. Kochałem jak kobietę.

Dziś oczywiście zdaję sobie sprawę, jak bardzo byłem wówczas ograniczony – ale czułem z ogromną mocą, że oto utraciłem dwa jedyne punkty podparcia mojego świata i osuwam się w czarną, bezkresną otchłań. Żmudne próby, strojenie głosu i powtarzanie w nieskończoność ćwiczonych partii, a potem oczekiwanie na premierę nowego spektaklu; wieczorne spotkania z moją piękną Editt, jej uśmiech, sprawiający, że pite razem niedrogie wino nabierało smaku ambrozji – to było całe moje życie. Editt i teatr Piccola Lirica definiowały mnie, nadawały mi sensu. Utraciwszy je, utraciłem całego siebie.

Słońce wisiało jeszcze nisko, gdy schodziłem w dół, na stację metro Termini. Minał poranny szczyt, ale wciąż było gwarno, pociągi wjeżdżały na perony i odjeżdżały, podróżni wsiadali i wysiadali. Ludzie zajęci swoimi sprawami rozchodzili się do miasta, inni biegli zaaferowani na dworzec kolejowy. Wszystko działo się gdzieś obok, jakby za grubą szybą, nie dotyczyło mnie w żaden sposób. Siedziałem na ławce otępiały jak jaszczurka po zimnej, nieprzespanej nocy.

W pewnym momencie poczułem impuls, coś podszeptnęło mi, że przecież nie mam już na co czekać. Wstałem z ławki. Z

głośników popłynęła właśnie zapowiedź wjazdu pociągu, spiker prosił o odsunięcie się od krawędzi peronu. Zdażył już zgromadzić się mały tłumek podróżnych z bagażami.

Po chwili zamigotały czołowe reflektory i oto pojawił się pociąg metra.

Jakże to było kuszące: jeden skok, i po wszystkim. Potężne koła zetrą na miazgę całą rozpacz, cały ból. Nawet nie zdążę krzyknąć.

Niczym lunatyk ruszyłem w stronę krawędzi. Pociąg zbliżał się nieuchronnie, granatowe lico czoła kolejki rosło z każdą sekundą. Podszedłem już na sam skraj peronu, jeden krok dzielił mnie od torów. Wiedziałem, że jeśli stchórzę, jeśli pozwolę się minąć czołu pociągu – będzie za późno, a drugi raz nie znajdę w sobie dość odwagi.

Zamknąłem oczy, zmrużyłem je z całych sił. Zebrałem się w sobie, napiąłem mięśnie.

Skoczyłem.

To nieprawda, co mówią o życiu przelatującym w krytycznej chwili przed oczami, o tym zmontowanym ze wspomnień filmie. Nie czułem nic.

Ktoś w ostatniej chwili złapał mnie za ramię i szarpnął, stanowczo wciągnął na peron. Zachwiałem się, upadłem. W tym samym momencie hamujący pociąg nieśpiesznie przetoczył się przede mną z basowym rykiem; jechał już wolno, setki ton niechętnie wytracały pęd.

Dotarło do mnie, co się właśnie wydarzyło. Wiedziałem, że nie znajdę w sobie sił na kolejną próbę. Powoli się podniosłem.

Ten, który uratował mi życie, stał obok. Patrzył na mnie skupionym wzrokiem, szczupły mężczyzna, może około czterdziestki. Pod koloratką.

Poczułem się słabo, jakbym zaraz miał zemdleć. Podszedł do mnie, objął stanowczo i zaprowadził na ławkę. Nie odzywałem się ani słowem.

Usiadł obok. Przez chwilę milczał, wreszcie powiedział:

- Świat jest ogromny, synu. Znacznie większy, niż nam się na co dzień wydaje. To, że dziś nie widzisz dla siebie miejsca, wcale nie znaczy, że tak musi być naprawdę.

Przerwał na chwilę, ruszający z sąsiedniego toru pociąg i tak zagłuszyłby jego słowa.

- Mam na imię Lucka - wyciągnął do mnie dłoń.

Uścisnąłem ją, z trudem zdobywając się na taki wysiłek. Byłem zlany potem.

- Giuseppe.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - skłamałem.

- Nie wierzę w przypadek - powiedział. - To Bóg chciał, abyśmy się dziś spotkali. Mój pociąg z Mediolanu spóźnił się o pół godziny. Gdyby przyjechał zgodnie z rozkładem, nie byłoby mnie tu od ponad kwadransa. Wówczas najpewniej nie byłoby już i ciebie, prawda?

Przytaknąłem.

- A skoro tak - kontynuował. - Bóg najwyraźniej wiąże z tobą plany, synu.

- Nie jestem przesadnie religijnym człowiekiem...

Uśmiechnął się.

- Myślisz, że Bogu kiedykolwiek to przeszkadzało?

Posiedzieliśmy jeszcze kilka chwil, rozmawiając. Duchowny zaciekał się moją pracą dla teatru i występami w operetkach; okazało się, że cenimy tych samych wybitnych wokalistów.

Ksiądz Lucka zostawił mi wizytówkę. Pożegnaliśmy się, gdy obiecałem, że się z nim skontaktuję.

Tak zaczęła się nasza niezwykła znajomość; tamtego dnia poznałem arcybiskupa Luckę i moje życie zaczęło się na nowo.

Wciąż jestem jego dłużnikiem.

Arcybiskup odkłada przeczytane dokumenty. Przez chwilę przygląda mi się, kiwa zamyślony głową. W końcu odzywa się,

niezwykle łagodnym głosem, to dziwny kontrast, zważywszy na mrok, jaki spowija jego słowa:

- Drogi Giuseppe... Wszystko wskazuje, że grozi nam poważne niebezpieczeństwo. Zaczynamy tracić kontrolę nad tym, co dzieje się w Watykanie.

1.3

Cisza panuje przez dłuższą chwilę. Wydaje się, jakby słowa arcybiskupa wybrzmiewały złowróżbnym echem wśród eleganckich ścian - ale przecież wiem, że echo to rezonuje co najwyżej w mojej głowie.

Nie mówię nic. Arcybiskup Lucka dostrzega mój wyraz twarzy, choć staram się z całych sił nie uzewnętrzniać emocji. Uśmiecha się. Gdyby nie doświadczenie nabyte na teatralnej scenie, pewnie nie dostrzegłbym, że to uśmiech pusty i wymuszony. A jednak działa: tłumi nagły strach, zanim ten zdążył chwycić mnie za krtań.

- Póki co władza wciąż pozostaje w naszych rękach - hierarcha mówi łagodnie, uspokajającym tonem. - Jeśli zadziałamy spokojnie i rozważnie, nie ma możliwości, aby się nam wymknęła. Gra toczy się o wysoką stawkę, a w takich chwilach zwycięża ten, kto nie przestaje posługiwać się przede wszystkim rozumem. Musimy reagować szybko, ale jednocześnie rozsądnie. Każdy błąd zostanie natychmiast wykorzystany.

Nie mogę nie zauważyć, że gdy to mówi, dostojnik bezwiednie bębni palcami o brzeg biurka. Reflektuje się po sekundzie i jego dłonie zamierają.

- To oczywiste, że wkradają się nerwy - widzi, że zwróciłem na to uwagę; uśmiecha się szerzej. - Mogę cię jednak zapewnić, że plan na taką okoliczność mieliśmy opracowany już dawno. Jesteśmy bardzo dobrze przygotowani.

Korci mnie, aby przyjrzeć się leżącym na biurku dokumentom, które najwidoczniej stały się zarzewiem obecnego niepokoju. Powstrzymuję się. Nie zostały napisane z myślą o

moich oczach. Zrozumiałbym mniej niż niewiele i nic by mi z tego nie przyszło – ciekawskość nigdy nie należała do cnót szanowanych w Watykanie.

Ja zaś znam swoje miejsce. Jestem człowiekiem pokornym.

Hierarcha mówi dalej:

- Twoje zadanie, Giuseppe, z grubsza rzecz ujmując, nie będzie się różniło od poprzednich. Nie poproszę cię o nic, czego nie robiłbyś już dla mnie.

Arcybiskup sięga do szuflady biurka. Wyjmuje pendrive, malutką, niepozorną kostkę pamięci USB; waży ją w dłoni.

- Raz jeszcze przewieziesz dane do sejfu w Klasztorze. Tak, jak dziesiątki razy wcześniej.

- Oczywiście, ekscelencjo.

Dostojnik wręcza mi pendrive. Obracam go w palcach.

- Na początku było Słowo – mówi arcybiskup. – A Słowo było u Boga... Słowo, czyli informacja, wciąż jest najpotężniejszą siłą, która leży u podstaw każdego aktu kreacji... albo zniszczenia.

Trzymam, wydawałoby się, najzwyklejszy w świecie pendrive, jaki można kupić za kilka euro w każdym sklepie z elektroniką. Pamięć flash, może kilka gigabajtów, a może kilka terabajtów wirtualnej przestrzeni w plastikowej osłonce?

Arcybiskup mówi dalej:

- Dziś, w trzecim millenium, czasem zapominamy o ogromie tej siły. Słowa zalewają nas zewsząd, a media podają więcej informacji, niż jesteśmy w stanie ogarnąć wyobraźnią. Tonimy w tym szumie, stajemy się obojętni. A mimo to, wciąż istnieją słowa, które wypowiedziane na głos raziłyby mocniej, niż bomba termojądrowa. Coraz więcej jest informacji, które mają moc przemiany świata...

Przemyka mi myśl – ile może ważyć ta malutka kosteczka? Dziesięć, może piętnaście gramów? Na pewno nie więcej.

- Mówię to po to, abys zdawał sobie sprawę z tego, jak istotne jest twoje zadanie, Giuseppe. Pendrive, który

otrzymałeś, jest zapieczętowany. Jego zawartość niech pozostanie tajemnicą, zarówno dla bezpieczeństwa twojego, jak całej naszej sprawy. Musisz jednak wiedzieć, że tak cenne dane nigdy wcześniej nie trafiły do Klasztoru. Nie ma też drugiej zintegrowanej kopii tych danych. Doszłoby do ogromnego nieszczęścia, gdyby wpadły w niepowołane ręce. Nie powierzyłbym ich nikomu innemu, Giuseppe.

Nie zadaję pytań. Jest przecież oczywiste, że musi chodzić o dane ogromnej wagi. Te mniej ważne przesyłane są siecią, rzecz jasna wielokrotnie szyfrowane; tylko najistotniejsze dane transportuje się na fizycznych nośnikach. Zagrożenie musi być znaczne, skoro arcybiskup decyduje się zamknąć je w sejfie w Klasztorze. W sejfie, w którym z pewnością będą bezpieczne. W sejfie, który otworzyć można tylko jednym kluczem.

Tym kluczem jestem ja.

- Wiesz, jak bardzo ci ufam - mówi arcybiskup. - Tym razem jednak, w trosce o bezpieczeństwo, wyruszysz z dwoma towarzyszami.

- Casemiro - zwraca się w głąb pomieszczenia, do sekretarza, tego milczącego ducha, o obecności którego niemal zapomniałem. - Przyprowadź proszę Davide'a i Klause.

Casemiro bez słowa podchodzi do drzwi. Otwiera je i przez chwilę słychać przytłumiony gwar dobiegający z sali drugiej.

Po krótkiej chwili drzwi otwierają się ponownie. Arcybiskup Lucka wstaje zza biurka; ja także się podnoszę. Odwracam się.

Obok Casemiro stoi dwóch wysokich, postawnych mężczyzn. Obydwaj mają na sobie sutanny, ale z postury przypominają raczej sportowców lub żołnierzy - barczyści, o szerokich klatkach piersiowych, wręcz emanują fizyczną tężyzną.

- Szczęść Boże, ekscelencjo - witają się z gospodarzem.

Arcybiskup przedstawia nas sobie.

- To jest Giuseppe. To zaś ojcowie Davide i Klaus.

Witamy się, oszczędnie, ale z szacunkiem. Obydwaj mocno ściskają moją dłoń.

Ojciec Davide wydaje się nieco starszy. Nosi długie włosy spięte w kucyk, choć ma już wysokie czoło i całkiem siwe skronie. Jego twarz żłobią zmarszczki, jeszcze płytkie, ale już całkiem wyraźne; zgaduję, że może mieć około pięćdziesięciu lat. Spojrzenie ciemnych oczu jest przenikliwe i nieodgadnione; błyszczy w nich siła nie tylko mięśni, ale też intelektu.

Klaus z kolei nie może mieć więcej, niż trzydzieści pięć lat. Jest nieco wyższy i mocniej zbudowany. Nie wygląda na Włocha. Nosi krótkie, płowe włosy i dwudniowy zarost. Szare oczy wydają się zaskakująco wesołe, choć twarz wyraża skupienie i powagę.

Obydwaj wyglądają, jakby wcale nie byli księżmi i tylko przebrali się w sutanny.

Arcybiskup zwraca się do nich.

- Chciałbym, abyście towarzyszyli naszemu przyjacielowi w drodze do Klasztoru. Sytuacja jest na tyle poważna, że wasza wiedza i doświadczenie mogą okazać się niezbędne.

- Oby nie, ekscelencjo - mówi poważnie Davide.

Do tej pory, gdy istniała konieczność przewiezienia dokumentów lub nośników danych do sejfu w Klasztorze, towarzyszył mi tylko Casemiro. Arcybiskup nigdy dotąd nie przydzielał mi ochroniarzy.

- Również mam nadzieję, że nie będzie potrzeby korzystania z waszych umiejętności - mówi dostojnik. - Nie wolno jednakże dopuścić do najmniejszego choćby zaniedbania.

Zaproszeni gestem przez arcybiskupa, Davide i Klaus siadają na podsuniętych przez Casemiro krzesłach. Ich ruchy są szybkie, precyzyjne i sprężyste; wyglądają, jakby przycupnęli tylko na moment, czujni, gotowi w każdej sekundzie zerwać się do działania. Sam hierarcha wrócił za biurko, wodzi wzrokiem po dokumentach.

- Zgodnie z wolą Ekscelencji przyjęliśmy strategię ławicy. Jesteśmy gotowi - mówi Davide.

Poczułem się zdezorientowany.

- Ławicy?

- Tak Giuseppe, to najlepsze wyjście - westchnął arcybiskup, jakby jeszcze raz analizował swój wybór. - Ławicy..., czyli inaczej mówiąc, igły w stogu siana. O ile to możliwe rozproszymy uwagę nieprzyjaciół, jeśli gdzieś tam chcieliby przechwycić pendrive.

- Kiedy rozpoczynamy zadanie?

- Niezwłocznie. Jesteś gotów, Giuseppe? - arcybiskup Lucka zwraca się do mnie.

- Jestem zawsze gotów, Ekscelencjo - odpowiadam.

- Znakomicie. Musicie cały czas pamiętać, że to wyjątkowo ważne zadanie - teraz zwraca się do nas wszystkich. - Nie możemy popełnić błędu. Zdaję sobie sprawę, że doskonale znacie swoje role i byłoby pewnie nietaktem, gdybym prosił was o maksymalną koncentrację i zaangażowanie.

Przez chwilę arcybiskup waha się, waży słowa. Mówi dalej.

- Zdaję się na was w pełni, przyjaciele. Wierzę, że wrócicie szczęśliwie.

- Z Bożą pomocą nic nie może nam zagrozić - odpowiada Davide. Arcybiskup poważnie kiwa głową.

Wstaje, jako pierwszy, podnosimy się w ślad za nim. Wyjmuję z kieszeni telefon komórkowy, dawno wyłączony zgodnie z procedurą bezpieczeństwa i kładę go na biurku. Nie może zostać namierzony w drodze.

Arcybiskup Lucka żegna się z nami. Znów przywołuje ten teatralny, niemal prawdziwy uśmiech.

- Idźcie z Bogiem, przyjaciele.

Kierujemy się w stronę wyjścia. Ciągłe czuję na sobie to wywołujące ciarki spojrzenie, sam już nie wiem, czyje - zaklętej w murach historii, Stwórcy na wysokościach... czy wrogów arcybiskupa Lucki.